

Recenzja 17.12.2011

Rozmowa Nina Andrycz przed dzisiejszą premierą „Królowej i Szekspira” w warszawskim Teatrze Na Woli

Bóg nie stworzył mnie do roli sierotki

W: Pozwoli pani na małą prowokację przed majestatem królowej polskiego teatru?

NINA ANDRYCZ: Nie wiem, czy „Rzeczpospolita” jest najlepszym miejscem na prowokację.

Czy zainteresowała się pani sztuką Esther Villar „Królowa i Szekspir”, która, najlagodniej mówiąc, nie jest udanym dramatem, wyłącznie dla wielkiej roli królowej Elżbiety?

Dokonałam bardzo znaczących skrótów. Ta rola mnie zajęła, opłaca się grać własne emploi. Począwszy od reakcji ludzi przypadkowych, przez personel teatralny, który mówi o mnie „ona ma taki majestat, ona jest taka władcza” – każdy przyjmuje mój wybór bez zastrzeżeń. Dobry Pan Bóg nie stworzył mnie do roli sierotki Marysi. Natomiast jeżeli gram Szimenzę i mówię do króla, żeby umilkł, bo teraz ja mam mówić, ludzie pod każdą szerokością geograficzną biją mi brawo. Elżbieta też jest królową z krwi i kości. Całkowicie panuje nad sytuacją, nad ludźmi, nad sobą. Jak rasowy polityk jest odziana w gorset wielkiego rozumu i samodyscypliny. Mimo ciężkiej choroby, potrafi zapanować nad bólem. Jeżeli rozkleja się wspominając ukochanego lorda Essexa, sama doprowadza się do porządku. Choć jest kobietą okaleczoną, nieszczęśliwą, potrafi śmiać się z własnych romansów. Po śmierci Marii Stuart ma wyrzuty sumienia, ja zaś do zagrania – dobry, ludzki tekst. Moja Elżbieta nie umiera w kółku. Umiera stojąc, wczepiona w tron. Taka już jestem.

Czy grając na scenie despotki, jest pani despotyczna w teatrze?

Nie wszystkie moje bohaterki są despotyczne. Elżbieta Valois była niezwykle szlachetna. Z własnej szkatuły łożyła na rewolucję. Z tego powodu pana wspaniałego kolega po piórze Marian Eile poświęcił mi okładkę w „Przekroju”.

Ale jest pani despotyczna, czy nie?

Mam władczy charakter, ale to nie ma nic wspólnego z despotyzmem. Widzi mnie pan, jak siedzę na zydelku, pocziwie pochylona w pańską stronę i nie ma na mojej głowie żadnej korony. Nie ma cienia zarozumiałości na mojej twarzy. Przeciwnie, jest rzetelna aktorska trema. **Woli pani sama królować na scenie, czy też toczyć aktorskie pojedynki z partnerami?**

To pytanie w stylu, jaka jest pani najukochańsza rola? Nie mam takiej. W każdej grupie ról mam jedną, którą lubię. Pośród królewskich – od Elżbiety wolę chyba Marię Stuart, jej ofiarę; z komediowych postaci – Dianę w „Psie ogrodnika” graną u Swinarskiego. Z głupich kobiet – lubię Izabellę Łęcką, ale nie dlatego, że miałam na scenie szczęśliwą stycz-



BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

ność z Jerzym Leszczyńskim, który grał mojego ojca.

Są jednak aktorzy, którzy widzą tylko siebie.

Lubić samego siebie oznacza koniec kariery. To jest głupi narcyzm. Żaden wielki aktor, z którym życie mnie zetknęło – Jaracz, Osterwa, Węgrzyn – nie kochali siebie.

A pani kocha siebie?

Nie.

A na scenie?

Zależy od roli.

W „Królowej i Szekspirze” Elżbieta nie dopuszcza do słowa Szekspira. Czy tak traktuje pani reżyserów?

Ach, nie. Z żadnym nie miałam konfliktu. Ostatnio filmowiec, pan Tomasz Zygadło, który reżyserował „Lustro”, powiedział o mnie „jakaż to uroczą pracoholiczką i wzorowy pracownik” i dokarmił mnie ciasteczkami, żebym nie opadała z sił. Z panem Marcelem Kochańczykiem pracujemy pierwszy raz i jesteśmy w idealnej zgodzie.

Przyjmuje pani wszystkie jego uwagi?

Prowadzimy ze sobą rozmowę i dochodzimy do kompromisu.

Ostatnio, po zamknięciu Sceny Kameralnej Teatru Polskiego straciła pani jedno z miejsc pracy.

Ze wszystkich znanym mi okresów historii Polski, a jestem w zawodzie 60 lat, nie mniej, nigdy nie było sytuacji tak tragicznej. Nasz mecenas, państwo polskie, umyło ręce. O tym, że tracę miejsce pracy dowiedziałam się w środku sezonu. Teatr Polski nie ma pieniędzy, żeby pokrywać czynsz za Scenę Kameralną i na jej miejscu otwarty zostanie nocny klub, jakby tych urzędników brakowało w Warszawie. Niepewny los czeka Teatr Nowy Adama Hanuszkiewicza. Najśmieszniejsze jest to, że kiedy spotykamy się na bankietach, rządzący mówią o tym, jak wspaniale udał się Wajdzie „Pan Tadeusz”, co świadczy, że kultura kwitnie. Tylko, że panu Wajdzie udawało się w komunie nie mniej niż teraz. O sytuacji kultury mówił i pisał bardzo mądrze mój kolega Kazimierz Dejmek, ale nikt nie zwrócił na to należytej uwagi.

Wypada żałować, że nie zrealizował swoich projektów, gdy był ministrem.

Zdjęli go. Przyszedł do pracy i zobaczył na biurku wymówienie. Taki bywa los ludzi mających swoje zdanie o sytuacji w kraju.

Rozmawiał Jacek Cieślak